

Käthe Schimek

Zapiski z mojej działalności jako pielęgniarki rejonowej w okresie okupacji w Landsbergu nad Wartą w 1945 r.

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 18, 413-420

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Käthe Schimek

Niemcy

**Zapiski z mojej działalności jako pielęgniarki rejonowej
w okresie okupacji w Landsbergu nad Wartą w 1945 r.¹**

Minęło 30 lat od chwili, kiedy my, Niemcy ze Wschodu, musieliśmy opuścić naszą ziemię rodzinną, jednak wciąż dobrze pamiętam ten najgorszy czas mojego życia. Nawet wręcz nie chciałabym o nim zapomnieć, bo uzbroił mnie do wszystkich moich następnych życiowych wojen. Służba na dworcu, którą pełniłam w czasie wojny jako młodsza pielęgniarka Niemieckiego Czerwonego Krzyża, przyniosła okropne przeżycia, ale jako pielęgniarkom wolno nam było działać wyłącznie w przepisowych ramach, podczas gdy wszystko, co zrobiłam po upadku, uczyniłam z własnej inicjatywy, wiedzona instynktem przetrwania. 31 stycznia 1945 roku! Front dociera do Landsbergu. Wszyscy, którzy zostaliśmy, baliśmy się śmiertelnie i nikt nie potrafił uchronić się przed strachem! Nie było odważnych, trzeba było wyłączyć myślenie! Działaliśmy tylko zgodnie z instynktem!

Moja działalność polegająca na tym, żeby pomagać innym i wspierać swoich w przetrwaniu najtrudniejszego czasu, zaczęła się od tego, że przyjąłam u siebie położną z dwójką dzieci i trzy ciężarne z kliniki, którymi wprawdzie zajmowały się jeszcze bardzo dobre pielęgniarki, ale które opuścił lekarz. Ponieważ klinika znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie mojego mieszkania, mogłam dać schronienie tym trzem ciężarnym uciekinierkom, z którymi przeczekaliśmy najgorsze pierwsze dni, aż mogły razem z mężem jednej z nich udać się w drogę powrotną do Drezdenka. Chyba wszystkie trzy stamtąd właśnie pochodziły i – jak się później dowiedziałam – ten mąż został tam burmistrzem. Nie wiem już dziś, czy był z pochodzenia Polakiem (jego nazwisko miało niemieckie brzmienie: Rosenkranz²). Młoda kobieta z dwójką dzieci została u mnie i mojej rodziny aż do chwili naszej deportacji. Oprócz tego obecni byli moi sąsiedzi, budowlaniec z żoną, którzy bali się zostać sami i poszukali schronienia u mnie. Od czasu do czasu pojawiali się też inni znajomi i nieznajomi, którzy chcieli zostać na kilka dni albo nawet kilka tygodni. Troska o tę wielką grupę ludzi w potrzebie dodawała mi sił, których nawet się u siebie nie spodziewałam. Musiałam zdobywać jedzenie i picie dla tych ludzi, którzy powierzyli mi swój los. Do-

1 Przedruk za oryginałem: *Aus meiner Tätigkeit als Bezirkschwester in der Besatzungszeit Landsberg/Warthe 1945*, „Heimatblatt“ 1995 nr 10, s. 48-51.

2 Nie jest znany burmistrz Drezdenka o tym nazwisku. Już w lutym 1945 r. burmistrzem był tam Szczepan Sekuterski. W kwietniu 1945 wiceburmistrzem był Kazimierz Krystek. 7 maja burmistrzem został Kazimierz Derda, zaś S. Sekuterski został jego zastępcą (zob. Juliusz Sikorski, *Zarząd Miejski i Miejska Rada Narodowa w Drezdenku*, wstęp do inwentarza zespołu).

póki jako kobieta nie mogłam tego robić sama ze względu na szalejący motłoch, mój ojciec przeszukiwał opuszczone domy w poszukiwaniu ziemniaków. Gospodarstwo przy Kladowstrasse (Wyszyńskiego) dostarczało, jak długo mogło, mleko dla niemowlaka, który miał zaledwie cztery dni, kiedy jego mama i czteroletnia siostrzyczka pojawiły się z nim u mnie. Niestety, po 14 dniach to jedyne źródło mleka wyschło, ponieważ Rosjanie zabrali jedyną krowę. Na szczęście znalazłam inną możliwość, z której korzystałam aż do deportacji: Chwałęcice! Jednak o tym opowiem później.

Mieszkałam na Kladowstraße (Wyszyńskiego), w pobliżu „Winnej Góry”, na którą w pierwszych dniach trafiało tylko niewielu Rosjan. Tłumy gnieździły się w centrum, gdzie było mnóstwo spirytusu! W jednej z hurtowni było podobno przechowywanych 35.000 litrów. Spirytus dla Wehrmachtu! A teraz wpadł w ręce zdobywców! Wszystkie te podpalenia i przerażające zbrodnie, które miały miejsce w pierwszych dniach w śródmieściu, na pewno wynikały z tej konsumpcji. Kiedy śródmieście leżało już w gruzach, rosyjscy żołnierze przenieśli się do pozostałych dzielnic. Jeśli tylko jakieś mieszkanie im się spodobało albo jeśli chcieli je dokładnie obrabować, kazali właścicielom wynosić się w ciągu kilku minut, tak że musieli szukać sobie jakiegoś miejsca.

10 razy wyrzucali mnie z mieszkania z wielką rodziną. Na koniec cały nasz wspólny dobytek mieścił się na ręcznym wózku. Jednak taki los stał się nie tylko naszym udziałem. Wszyscy mieszkańcy miasta wciąż gdzieś się przenosili! Pewnego dnia pojawili się rosyjscy oficerowie, którzy szukali kobiet do transportowania koni do Rosji. Od razu mnie do tego wybrali i zapisali na liście. W desperacji zwróciłam się do pewnego landsberskiego lekarza, a ten poprosił o pomoc polskiego Lekarza Powiatowego. Od niego zaś dostałam natychmiast na piśmie, że jestem zatrudniona przez polskie władze jako pielęgniarka okręgowa do pomocy ludności niemieckiej! Opisałam Lekarzowi Powiatowemu (doktorowi Obuchowitziowi)³ moje kłopoty, a on natychmiast mi pomógł! Pokazałam rosyjskim oficerom moje zaświadczenie o zatrudnieniu i zostałam skreślona z listy! Ta praca, na którą dostałam papiery, zaczęła się od współpracy z niemieckimi lekarzami: zbierałam lekarstwa z przetrzebionych mieszkań i dostarczałam je do niemieckich lekarzy. Początkowo była to jedyna możliwość pozyskania lekarstw. Potem, kiedy zaczęła się współpraca między naszymi lekarzami a lekarzami rosyjskimi, niemieccy lekarze zapisywali mi na kartce, jakich lekarstw potrzebowali, i prawie wszystkie udawało mi się dostać w rosyjskiej aptece przyszpitalnej. Nigdy mi się nie zdarzyło, żebym została źle potraktowana przez rosyjskie albo polskie instytucje. Jednak sama zawsze zachowywałam się w nich z wielką powściągliwością i poprawnością, co spotykało się z odpowiednią reakcją.

Od czasu do czasu poszczególne dzielnice przeszukiwano, aby znaleźć osoby cierpiące na choroby zakaźne. Jako pielęgniarki miałyśmy „swoje” domy, przypisane według ulic, musiałyśmy rejestrować wszystkich chorych i przekazywać ich listy rosyjskim lekarzom.

Ciekawe było to, że rosyjscy i nawet polscy lekarze chętnie poddawali się badaniom ze strony swoich niemieckich kolegów. Czy chcieli zobaczyć, w jaki sposób się to robiło w Niemczech?

3 Na jego temat zob. obszerny artykuł w tym „Roczniku”.

Oprócz dzielnic miejskich przejeżdżałam także kilka wsi pod opiekę. Zrobiłam to z prostego powodu: miałam nadzieję dostać trochę żyta i ziemniaków dla mojej rodziny. Nosilałam więc mieszkańcom wiasek lekarstwa, o które prosili, a w zamian dostawałam trochę ziarna i ziemniaków. Sami nie mieli nic innego do jedzenia. O wielkim szczęściu mogłam mówić w Ulimiu: przyjechałam tam akurat w dniu, w którym Rosjanie szlachtowali bydło. Od mieszkańców dowiedziałam się, że Niemcom zawsze dostawała się krowia głowa. No to już! Najpierw dyżurny oficer nie chciał mi nic dać, ale kiedy pokazałam mu swoją rosyjsko-polską legitymację pielęgniarską, własnoręcznie wybrał dla mnie najlepszą głowiznę z językiem (!) i włożył do worka, do tego płuco i wielką sztukę udźca, więc wracałam szczęśliwa z całym tym ciężarem, który załadowałam na ręczny wózek.

Żeby móc się porozumiewać z rosyjskimi lekarzami, potrzebowałam tłumacza. Przydzielono mi rumuńskiego żołnierza, dzięki czemu w każdej chwili mogłam wezwać pomoc. Nazywał się Cebotari, był zawsze miły i skory do pomocy. W kontaktach z polskimi urzędami nie potrzebowałam tłumacza. Większość Polaków znała niemiecki, ale my nie znałiśmy ich języka! Żona jednego z niemieckich lekarzy, pani von Kloth, która pochodziła z jednego z krajów bałtyckich i znała płynnie rosyjski, zaferowała mi swoje usługi jako tłumaczka, więc od tej chwili nie miałam już żadnych trudności z porozumieniem. Prowadziłam niemieckich pacjentów, którzy często przychodzili do mnie z bardzo daleka, do rosyjskich specjalistów. Chyba po miastach i wioskach (Strzelce, Barlinek itd.) rozeszła się wieść, że dzięki mojemu wsparciu pacjenci mogą dostać się do lekarzy, więc zjawiali się ludzie ze wszystkich stron w poszukiwaniu pomocy specjalistów. Kierowałam się zawsze do dawnego szpitala miejskiego, w którym teraz stacjonowali Rosjanie. Rosyjscy lekarze leczyli tam moich pacjentów, pomagali, jak tylko mogli (ambulatoryjnie)! Oddziały w szpitalu wyglądały teraz zupełnie inaczej niż za niemieckich czasów. Usunięto wszystkie drzwi z pokoiów pacjentów, zamieniając je na kurtyny z paciorków. Wisiały w przejściach jak zasłony. W korytarzach stały sopluczkę! Ale panował porządek.

Ze szczególnym szacunkiem wspominam rosyjską okulistkę, która bardzo angażowała się w pomoc moim pacjentom. Przeprowadziłam do niej bardzo młodą Niemkę. Jakiś pijany rosyjski oficer poczuł do niej pożądanie, ona miała na rękę niemowlę i usunęła się z drogi. Natychmiast chwycił za pistolet i strzelił do dziecka, które matka na szczęście zdążyła wypuścić z rąk, dzięki czemu nie doznało szwanku, jednak kula trafiła młodą matkę w ramię. Potem oficer odstrzelił tej dziewczynie oko... Minęły tygodnie, zanim odważyła się znów wyjść z domu, żeby przeze mnie dostać się do okulistki. Kiedy opowiedziałam lekarce przez tłumacza, co się wydarzyło, odrzekła: „Siostró, postaram się naprawić zło, które wyrządził mój rosyjski towarzysz.” Młoda kobieta została poddana kilku operacjom, podczas których trzymałam ją za ręce. Po rozszerzeniu szczeliny oczodołowej i usunięciu rozlanej gałki lekarka włożyła prowizoryczne sztuczne oko. Bynajmniej nie był to jeszcze koniec leczenia, jednak w tym momencie zaczęła się deportacja i nie wiem, jak potoczyły się losy tej pacjentki. Również polski Lekarz Powiatowy operował kilku pacjentów, jednak z negatywnym skutkiem. Starszy niemiecki żołnierz, który wrócił chory z frontu, cierpiał na ropowicę, którą ten Lekarz Powiatowy operował wspólnie z lekarzem miejskim w jakimś mieszkaniu, zapominając o zasadach sterylności. Nie było

żadnych środków znieczulających, więc biedny pacjent, którego trzymałam za nogę w czasie operacji musiał znosić cały ból bez żadnego znieczulenia! Polski lekarz zemdleł przy tym!

Lekarz Powiatowy wyciął też wyrostek robaczkowy. Pacjentka zmarła! – Myślę, że ten lekarz chciał pomóc, ale nie umiał. Czy w ogóle potrafił operować?

Na drzwiach mojego mieszkania umieściłam wielki czerwony krzyż oraz polski i rosyjski napis: „Oddział pielęgniarski”. Polska milicja respektowała taki stan rzeczy: kiedy odbywały się nocne przeszukania, do moich drzwi pukali stosunkowo cicho, po pokojach chodzili na paluszkach i zaglądali pod łóżka... Potem wychodzili, przepraszając. Od jednego Polaka dowiedziałam się, że do Chwałęcic nagoniono bydło i że w jednym z majątków być może uda się dostać mleko! Majątkiem administrowali Polacy. Kiedy pojawiłam się w moim stroju służbowym i wyjaśniłam Polakom, że oprócz córki mam jeszcze do wyżywienia kilkoro dzieci, w tym niemowlę, wyrazili gotowość oddawania mi codziennie kanki mleka. Biegłam więc codziennie o 4 rano do Chwałęcic, żeby przynieść kankę pełną mleka! Dzięki temu mogłam też od czasu do czasu wlać mleka do otrębów dla dorosłych... Do dziś odczuwam wdzięczność wobec tych ludzi!

Wszyscy Niemcy wiedzieli, że Rosjanie bardzo pilnują Polaków i że Polacy bardzo się ich boją.



Gorzowski pionier Mikołaj Abec (pierwszy z lewej) i żołnierze Armii Czerwonej, Gorzów lata 40. (ze zbiorów Alfreda Abeca)

Któregoś dnia, kiedy przyszedłam właśnie do „mlecznego”, żeby odebrać swoją kankę, pojawiła się niezapowiedziana kontrola Rosjan. Schowałam się na kilka godzin z piwnicy na kartofle... i nie znaleźli mnie! Z tego gospodarstwa dostawałam mleko aż do deportacji.

Dlaczego chodziłam do Chwałęcic tak wcześnie rano? O tej porze Rosjanie spali i nie musiałam obawiać się trudności z ich strony. Poza tym zawsze wracałam na czas, żeby zaopiekować się pacjentami. A poza tym Polakom nie wolno było w żadnym wypadku dawać Niemcom czegokolwiek do jedzenia. Władze miasta zaczęły nam wydawać nieco chleba dopiero na kilka tygodni przed deportacją. Ludzie stali godzinami przed „sklepami”, w których Polacy rozdzielali niewielkie kawałki zupełnie mokrego chleba. Chleba starczało tylko dla niewielkiej grupy, a potem koniec!

Kiedy się tam pojawiałam, traktowano mnie zawsze w sposób uprzywilejowany: Polacy od razu wpuszczali mnie do środka, więc brałam kartki od ludzi stojących przed drzwiami, dzięki czemu mogłam wielu z nich pomóc. Poza tym nie dostawaliśmy nic do jedzenia. Każdy musiał radzić sobie sam, żeby „utrzymać się na powierzchni”. Jednak wielu Niemców tego nie potrafiło, a choroby i brak nadziei doprowadzały do tego, że codziennie przez ulice miasta przeprowadzano wózki pełne ciał zmarłych. Był to przerażający widok, ale i do niego trzeba było się przyzwyczaić. Życie stawiało przed nami wiele wymagań i trzeba było nauczyć się być twardym. Zdarzały się przy tym sytuacje tak straszne, że nigdy ich nie zapomnę. W Ulimiu opiekowałam się liczną rodziną: dziadkowie z córką i piątką dzieci. Mieszkali na samym skraju wsi. Ich działka graniczyła bezpośrednio z lasem. Rodzina bardzo się cieszyła, kiedy przychodziłam, bo nie tylko przynosiłam lekarstwa, ale także dawałam im kontakt z innymi ludźmi. Młoda matka sądziła, że jej mąż ukrywa się gdzieś w lesie wokół Landsbergu, bo tam i wokół Ulimia byli jeszcze niemieccy żołnierze. Codziennie gotowała wielki garnek ziemniaków i wieczorem niosła go razem z ojcem do lasu, a rano przynosiła z powrotem pusty. Miała nadzieję, że w ten sposób również jej mąż dostanie coś do jedzenia! Na kilka dni przed naszą deportacją przyszedłam jeszcze raz do tego gospodarstwa, żeby zastać taką smutną scenę: babcia siedziała z piątką dzieci w pokoju – niemieckie „baby” dowiedziały się o tej pomocy dla naszych żołnierzy i, mając „kontakty” z Rosjanami, zgłosiły ją tymże Rosjanom! Dopadli młodą matkę razem z mężem, kiedy szli z powrotem do lasu, zabili oboje w zwirowni i tam zakopali!

Często myślałam potem o tej dobrej rodzinie. Jaki był los dzieci i babci? Czy udało im się przetrwać deportację? (Mieli na nazwisko Göller albo Gördeler.)

W Dzierżowie pewna chłopka ukrywała niemieckich żołnierzy. Powiedziała mi to, kiedy byłam u niej podczas moich „objazdów”. Zabroniłam jej komukolwiek o tym opowiadać, ale do mnie miała zaufanie. Mimo to sama jej się nie przyznałam, że też przyjechałam i ukryłam dwóch niemieckich żołnierzy!

W jedną z pierwszych nocy po rosyjskiej inwazji usłyszałam pukanie do moich drzwi. Otworzyłam przerażona, ale przed progiem stało dwóch młodych mężczyzn w cywilnych ubraniach i prosili rozpaczliwie o przyjęcie na jedną jedyną noc! Dostali skądś cywilne ubrania i wyrzucili rysz tunek, ale przy 18 stopniach mrozu nie mogli spędzić nocy na dworze, poza tym byli głodni i przemęczeni.



Żołnierze Armii Czerwonej na ulicy Gorzowa (ze zbiorów Roberta Piotrowskiego)

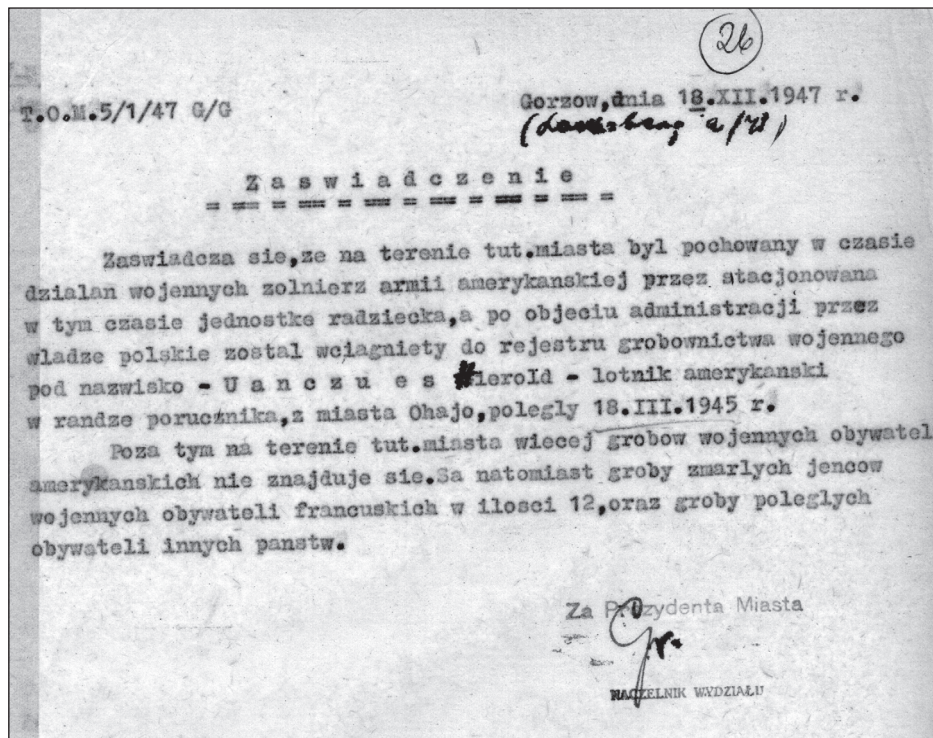
W tym momencie musiałam podjąć najtrudniejszą decyzję mojego życia: Co zrobić?? Po zapadnięciu zmroku cywilom nie wolno było się pokazywać na ulicach. Rosjanie strzelali do każdego. W wielkim pośpiechu przenieśliśmy kołdry i wełniane koce do spiżarki nad sąsiednim składem materiałów budowlanych (trzeba było wejść na wysoką drabinę). Dodaliśmy coś do jedzenia i młodzi mężczyźni obiecali, że znikną rano, jeszcze w ciemnościach. Jednak musieliśmy biedaków obudzić, spali zbyt mocno, pewnie przespaliły cały dzień. Trzeba przy tym zaznaczyć: za ukrywanie niemieckich żołnierzy groziła kara śmierci! Gdyby Rosjanie dowiedzieli się o tym, wszyscy bylibyśmy straceni!

Jak mordercza była wściekłość Rosjan i Polaków na niemieckich żołnierzy, widać było po takiej sytuacji:

Przez jakiś czas zajmowałam mieszkanie przy Schützensee⁴; właśnie zostałam wypędzona z własnego. W pobliżu odbywała się walka w powietrzu – jakiś samolot został zestrzelony, widać było kilku spadochroniarzy. Tylko jeden spadł niedaleko naszego domu, wszystkich pozostałych zaniósł gdzieś daleko. Wokół tego spadochroniarza krążył niewielki rosyjski samolot, z którego strzelano do tego próbującego się ratować żołnierza. Z naszych okien widzieliśmy wyraźnie, że został trafiony w nogi. Kiedy zbliżał się do ziemi, zbiegli się Polacy z kosami, kijami, karabinami itd. Na szczęście pojawiły się też dwa rosyjskie jeepy, bo inaczej lotnik zostałby zliczowany! Dopiero kiedy znalazł się na ziemi, Rosjanie rozpoznali w nim... Amerykani-
na! Wsadzili go do jeepa i odjechali...!⁵

4 Potocznie „Ruski Staw” – jeziorko przy ul. Emilii Plater.

5 Jest to chyba opis zdarzenia z 18 marca 1945 r. Wiadomo jest, iż podobne zdarzenie, czyli zestrzelenie amerykańskiego samolotu w okolicach Gorzowa miało miejsce 3 lutego, kiedy amerykańska „Latająca Forteca” (samolot B17G) awaryjnie lądował w okolicach Dębna (zob. B. J. Umiński, *Ostatni lot bojowy B-17G*, „Ziemia Gorzowska” 2000 nr 13, s. 18, 19). Z kolei 18 marca taki sam samolot miał spaść w okolicy Mosiny. Kilkanaście lat temu bezskutecznie poszukiwał go tam Zbigniew Czarnuch (zob. Z. Czarnuch, *Na tropie amerykańskiej forticy*, „Ziemia Gorzowska” 1999 nr 29, s. 18, 19). Tymczasem prawdopodobnie samolot ten doleciał aż do Gorzowa, na terenie którego spadł.



Dokument znajdujący się w Archiwum Państwowym w Gorzowie dotyczący członka załogi z zestrzelonej amerykańskiej „Latającej Fortecy” z 18 marca 1945 roku (APG, Zarząd Miejski i Miejska Rada Narodowa w Gorzowie, sygn. 304, s. 26)

GPU zajęła w Landsbergu dużą liczbę domów. W piwnicach odbywały się przesłuchania! Również mój ojciec został aresztowany na ulicy i był przesłuchiwany przez GPU. (Jak to było możliwe, że syn jednej z mieszanek Landsbergu był tam „prawą ręką” szefa GPU?) Na szczęście mojemu ojcu nie mogli nic złego udowodnić, więc

Możliwe, że towarzyszyły mu samoloty radzieckie, stąd relacje świadków o zestrzeleniu samolotu amerykańskiego przez Sowietów. Relację Käthe Schimek o zestrzeleniu amerykańskiego samolotu nad Gorzowem potwierdzają inni świadkowie. O zdarzeniu tym (lub podobnym) opowiada Brigitte Brandenburg (z domu Enderlein) w filmie „Wspomnienia z miasta L.” Moniki Kowalskiej, Grzegorza Kowalskiego i Zbigniewa Sejwy. Z kolei Jürgen Serke – wówczas sześciolatek, który zapamiętał zestrzelenie samolotu angielskiego, który miał spaść w okolicy ul. Caprivistr. – obecnie Okrzei, czyli dokładnie w tym miejscu, które wskazuje K. Schimek (zob. J. Serke, *Nach Hause. Eine Heimat-Kunde*, Köln 1979, informacja od Roberta Piotrowskiego). Także Polak Anatol Abec (ur. 1938) był świadkiem zestrzelenia amerykańskich samolotów. Anatol Abec jako dziecko trafił z rodzicami i starszym bratem Bolesławem (1930–2010) do Landsbergu (Gorzowa). Twierdzi, iż w roku 1945 widział zestrzelenie trzech amerykańskich „Latających Fortec” nad Gorzowem. Jego zdaniem (opiera to na opowieści swojego ojca) członkowie załóg tych samolotów zostali schwytani przez żołnierzy radzieckich, a następnie rozstrzelani i pochowani na cmentarzu przy ul. Walczaka (w okolicy szpitala), co wydaje się zdarzeniem nieprawdopodobnym i raczej jest zapisem plotek krążących wówczas w mieście (rozmowa D. A. Rymara z Anatolem Abecem z 11 I 2011, nagranie w posiadaniu autora). W tekście zamieszczamy także kopię dokumentu związaną z tym zdarzeniem, na który moją uwagę zwrócił Robert Piotrowski.

zwolnili go, mówiąc, że „teraz może iść do domu”! Jednak mój ojciec wzdragał się, bo wiedział, że na ulicach nie wolno pojawiać się nocą, więc... dali mu rosyjskiego żołnierza jako eskortę!!! To był chyba jedyny taki przypadek! W czasie tej okupacji przeżywaliśmy nieskończenie wiele okropności, jednak zdarzały się sytuacje, które wspominam z przyjemnością, bo pokazywały nam, że człowieczeństwo jeszcze nie zanikło; trzymaliśmy się tej myśli jak tonący brzytwy.

Na trzy dni przed deportacją szłam w strugach deszczu wzdłuż Hindenburgstraße (Bolesława Chrobrego). (Nikt nie przypuszczał nawet, jakie nieszczęście spadnie na nas, Niemców, po tej stronie Odry i Nysy.) W oknie jednego z domów stał rosyjski lekarz w randze generała pułkownika, dr Bloch, którego znałam z mojej działalności. Kiwnął do mnie i poprosił: „Ach, siostrze, proszę podejść!” Pokiwałam przecząco głową, nigdy nie utrzymywałam stosunków prywatnych z przełożonymi. Jednak dr B. pokazał mi gestami, że chodzi o ważną sprawę, więc poszłam do jego mieszkania. Położył na stole mapę, pokazał linię Odry, podniósł do góry trzy palce i powiedział: „Niemski raus!” Nie zrozumiałam. Ponieważ jednak intensywnie gestykułował, poprosiłam tylko: „Przyprowadzę moją tłumaczkę.” Kiedy wróciłam z panią Kloth i przy okazji z niemieckim lekarzem, doktorem F., dr Bloch powiedział do nas: „Za trzy dni Niemcy zostaną wyrzuceni z terenów na prawo od Odry. Ta informacja jest ściśle tajna, ale siostra zawsze dobrze z nami współpracowała i była miła, więc chcę pomóc siostrze i jej rodzinie, dać możliwość wcześniejszego wyjechania.” Od razu poprosiłam: „Panie doktorze, proszę dać nam jakieś zaświadczenie, żebyśmy mogli pojechać rosyjską ciężarówką.”

On jednak odpowiedział: „Proszę siostry, żaden rosyjski żołnierz nie posłucha cudzego przełożonego!” Mimo to poprosiłam go o takie zaświadczenie i kiedy mi je wystawiał, uśmiechał się, słysząc, że potrzebuję go dla 15 członków mojej rodziny! Od razu ruszyłam na poszukiwanie okazji, ale przez pierwsze dwa dni niczego nie znalazłam. I wtedy przyszła decyzja o deportacji Niemców! Na ten temat wiele już na pewno napisano i powiedziano.

Kiedy Rosjanie i Polacy przyszli do naszego domu, moje drzwi ominęli. W pierwszej kolejności poszłam do polskiego Lekarza Powiatowego, który mnie poprosił, żebym została w Landsbergu. Na wszelki wypadek poprosiłam go, żeby mi to dał na piśmie zezwolenie na pobyt dla całej mojej wielkiej rodziny! Chciałam jej oszczędzić marszu po szosie... W drodze powrotnej spotkałam przypadkiem doktora Blocha. Był przerażony, że jeszcze tu jestem, i powiedział: „Niech siostra jedzie! Zostać niedobrze!” Więc zaczęłam dalej szukać jakiejś ciężarówki.

Po południu spotkałam dwóch rosyjskich oficerów, którzy nieraz już korzystali z usług mojej tłumaczki i jej krewnych. Zgodzili się zawieźć nas do Kostrzyna, do niemieckiego pociągu. Byli gotowi zabrać nas nawet do Berlina, ale bez pisemnego rozkazu nie byłiby w stanie przejechać przez punkt kontrolny. To był Kostrzyn!

Pod wieczór oficerowie rzeczywiście przyszli! W ogromnym pośpiechu zapakowaliśmy resztkę naszego dobytku na ciężarówkę i w morderczym tempie wyruszyliśmy, omijając tych wszystkich biednych ludzi idących drogą!

Rosjanie dotrzyмали słowa i zabrali nas do samego niemieckiego pociągu. Przedtem jednak musieliśmy im dać trochę biżuterii i ubrań. Chętnie to zrobiliśmy, bo w ten sposób ominęła nas gehenna marszu!